

Autor RAFAŁ LASOTA

„STADNINA ANI”

Rozdział I

Dwunastoletnia Ania wbiegła do domu jak huragan. Bez słowa minęła kuchnię, w której mama właśnie szykowała obiad. Jak strzała popędziła na piętro i z hukiem zatrzasnęła drzwi do swojego pokoju. Dziewczyna cisnęła plecak w kąt, padła na łóżko, bijąc ze złości rękami w poduszkę. Nie zwróciła uwagi na burego kota o imieniu Marcel, który siedział na parapecie i od kilku godzin czekał na jej powrót. Kocisko, nieco wystraszone zachowaniem swojej pani, ostrożnie przeskoczyło na łóżko i mrucząc, przytuliło się do dziewczyny.

– Daj mi spokój – powiedziała Anka, delikatnie odpychając kocura od siebie. Marcel jednak nie dawał za wygraną. Uznał, że zachowanie jego pani to wstęp do znakomitej zabawy w „spychanego”, i zamiast uciec, zaczął zabawnie machać łapkami niczym bokser, który usiłuje odpędzić przeciwnika.

– O, tańczący kocur – tego jeszcze nie grali – powiedziała dziewczyna, patrząc na wyczyny Marcela. – Ty też chcesz mnie zameczyć? Dzisiaj chyba wszyscy się na mnie uwzięli, nawet ty, kocie – dodała z rezygnacją. Buzująca w niej złość powoli zaczynała ustępować. Wreszcie przemogła się i pogłaskała kocura za uchem.

Nagle ktoś ostrożnie zapukał do drzwi. Po chwili w progu stanęła mama i uważnie spojrzała na córkę.

– Co się znowu stało? – zapytała matka i weszła do pokoju. Jej blond włosy zabawnie potargane nad czołem układały się w coś na kształt ażurowej korony.

Anka spojrzała na mamę i uśmiechnęła się mimo woli.

– Teraz znowu coś nie tak z moją fryzurą? – zapytała matka.

Anka pokiwała głową. Mama starała się poprawić włosy, jednak im bardziej je przegarniała, tym gorzej fryzura zaczynała wyglądać. Trwało to kilka chwil, aż wreszcie Anka buchnęła śmiechem. Kot Marcel, który przyglądał się całej sytuacji, teraz wyraźnie wystraszony fryzurą mamy, skrył się po łóżkiem i wcale nie chciał wyjść.

– Ładnie tak śmiać się ze starej matki? – zapytała kobieta i usiadła na łóżku.

– Nie jesteś jeszcze taka bardzo stara. Czterdzieści pięć lat to dopiero... średnia starość. To taka półstarość... – powiedziała pocieszająco Anka.

– No bardzo ci dziękuję, dziecko, że tak łaskawie mnie oceniasz. Ale nie o tym chciała z tobą porozmawiać. Wiem, że w szkole znowu coś się stało. Twoja wychowawczyni do mnie dzwoniła...

– Borowa już ci zdążyła donieść? To nie była moja wina, tylko tych nieznośnych trzech dziewczyn: Sylwii, Karoliny i Gabrieli. One od początku się na mnie uwzięły – wycedziła Anka przez zaciśnięte zęby.

– Pani Borowa... – zaczęła mama, lecz Anka wpadła jej w słowo.

– Pani Borowa jest okropna!

Pani Agata Borowa była wychowawczynią klasy 6 „c”, do której Anka trafiła kilka tygodni temu. Kobieta z wyglądu przypominała wyrośnięty drożdżowy pączek obficie posypany lukrem. Była korpulentna, niska, miała piskliwy głos i siwe, krótko obcięte włosy zaczesane na lewa stronę. Od pierwszego spojrzenia kobieta nie przypadła Ance do gustu. Zapewne każdy powie, że źle jest uprzedzać się do kogoś, oceniając tylko wygląd, lecz Anka nie mogła przemóc niechęci do nauczycielki. Pani Borowa też traktowała dziewczynę z dystansem. Zresztą trudno się dziwić. Anka przyjechała do Węgrowa z Warszawy. Jej rodzice postanowili opuścić wielkie miasto i przenieść się nieco dalej od zadymionej i wiecznie gdzieś pędzącej aglomeracji. Kupili w Węgrowie dom z wielkim terenem, aby założyć stadninę. Mama Anki – Małgorzata – była trenerem koni wyścigowych, ojciec Paweł był lekarzem weterynarii. Obydwoje postanowili, że kiedy córka skończy dwanaście lat, wyprowadzą się za miasto. Marzenia Anki, jej mamy i taty właśnie się spełniały, jednak szkoła pozostawała piętą achillesową w życiu dziewczyny.

– Po pierwsze, kochana, o swojej nowej nauczycielce wyrażaj się trochę łagodniej, a po drugie, mów – co się stało? – powiedziała mama.

– Borowa jest niesprawiedliwa, wyróżnia te trzy dziewczuchy. Ale dzisiaj przeszła samą siebie. Pamiętasz, mówiłam ci, że razem ze mną do klasy przyszła jeszcze jedna dziewczyna. Ona siedzi sama w ostatniej ławce. Ma na imię Ola, konkretnie Olena – jest Ukrainką. Ta Olka robi jeszcze dużo błędów, gdy mówi. Słabo zna polski, ale z czasem się wyrobi. Na razie myli wyrazy i takie tam różne słowa wstawia, chyba rosyjskie. Dzisiaj był sprawdzian z ortografii. Ola napisała go koszmarnie. Na przerwie Sylwia, Karolina i Gabryśka zaczęły jej dokuczać, Olka zaczęła płakać. Nikt nie chciał stanąć w jej obronie, więc poszłam i powiedziałam, żeby dały jej spokój.

– Pani Borowa mówiła, że zrobiłaś coś jeszcze... – powiedziała mama, patrząc na córkę.

– A no tak. Bo widzisz, one, te trzy dziewczyny wcale nie chciały się odczepić od Oli. Krzyczały na nią, powtarzały, że jest nieukiem i niech wraca do siebie. Żeby

je ostudzić, wylałam na nie wodę z butelki. Od razu im przeszło, ale zaraz poleciały na skargę. Przez to wszystko cały dzień nie miałam nic do picia – rzekła Ania, a jej wielkie niebieskie oczy poszarzały ze złości, a usta zacisnęły się tak mocno, że prawie nie było widać warg.

– Ty nie miałas nic do picia, a ja muszę iść do twojej wychowawczynie. Dobrze, że pomogłaś tej dziewczynce. Źle, że wykąpałaś koleżanki w butelce wody. Ale najważniejsze, że mi o tym wszystkim opowiedziałaś. Pamiętaj, kiedy masz kłopot, nie zamykaj się w swoim pokoju, nie trzaskaj drzwiami, tylko przyjdź do mnie porozmawiać. Razem zawsze rozwiążemy wszystkie problemy – powiedziała mama i głośno westchnęła.

Nagle z podwórza doleciał odgłos klaksonu i głuchy warkot silnika samochodowego. Anka zerwała się z łóżka i podbiegła do okna.

– Jakiś wielki samochód stoi przed naszą bramą i jacyś ludzie się kręcą. A ten, co tu robi?! – krzyknęła Anka, spoglądając na chudego chłopaka z ciemnymi włosami i okularami na nosie. Chłopak ubrany był w czarny dres, a na nogach miał wysokie gumowce.

– To ten Piotrek z sąsiedztwa. On jest moim rówieśnikiem i chodzi do klasy „b”, a obok stoi jego ojciec – powiedziała dziewczyna i pytająco spojrzała na matkę.

– Tyle się wydarzyło, że zapomniałam ci powiedzieć. Do pomocy przy koniach w naszej stadninie zatrudniliśmy pana Kazimierza, ojca tego Piotrka. Pewnie twój kolega przyszedł tutaj razem z nim.

– No dobra, ale koni jeszcze nie mamy. Tata mówił, że przyjadą za kilka dni – powiedziała dziewczyna, poprawiając na głowie rudy warkocz, który nieustannie się rozplątywał.

– Miały być za kilka dni, ale przyjechali wcześniej. No, a teraz leć na dwór na tych swoich długich nogach. Właśnie przywieźli pierwsze konie do naszej stadniny. Ktoś musi odprowadzić je do boksów i nakarmić.

Ance nie trzeba było dwa razy powtarzać. Chwyciła kamizelkę, czapkę i jak błyskawice wybiegła na dwór.

Rozdział II

Dzikus, Jańcio, Kora, Filozofia. Cztery konie, które przyjechały do stadniny Anki, spowodowały wiele zamieszania. Z ich powodu nikt w domu nie spał do północy. Najpierw Dzikus, wielki, kary wałach rasy wielkopolskiej, wcale nie chciał wyjść z samochodu. Kiedy wreszcie ojciec chudego Piotrka – pan Kazimierz skusił go marchewką, Dzikus wyrwał się i jak szalony pognął na oślep przed siebie. Na szczęście furtka prowadząca na pastwisko była zamknięta. Anka razem z tatą podbiegli do zdezorientowanego konia i złapali za kantar, który Dzikus miał założony na głowę. Przez chwilę przytrzymali niespokojnego konia. Wreszcie Dzikus zmęczył się i spokojnie dał się odprowadzić do boksu. Kiedy wszyscy uporali się już z porywczym dzikusem, w drzwiach koniowozu pojawił się sympatyczny wałach o imieniu Jańcio. Jańcio był ujmujący. Przymilał się do wszystkich i wciąż wachał każdego, kto się do niego zbliżał.

– Patrzcie, jak wpycha pysk do mojej kieszeni w kurtce – powiedział ze śmiechem ojciec Anki. – Szuka, czy nie mam dla niego jakiegoś przysmaku. Musiał być bardzo rozpieszczony.

Jańcio był bardzo sympatycznym, niewysokim konikiem rasy appaloosa. Piotrek, który też chciał pomóc przy odprowadzaniu koni, stwierdził, że Jańcio jest tak łaciaty, jak krowy starej pani Strykowskiej, które pasą się na łące przy Liwcu. Oczywiście wszyscy na te słowa buchnęli śmiechem. Tylko Anka się nie śmiała. Kiedy nikt nie widział, dziewczyna podeszła do chudego Piotrka i syknęła mu do ucha:

– Sam jesteś łaciaty jak krowy starej pani Strykowskiej – po czym jak gdyby nigdy nic odwróciła się na pięcie i poszła wyprowadzić pozostałe konie.

Kora i Filozofia przyjechały aż ze Śląska. Dwie klaczki rasy angielskiej zachowywały się nad wyraz spokojnie, a Filozofia wręcz flegmatycznie. Obydwie były maści kasztanowej. Jednak o ile Kora, idąc do boksu, zgrabnie przebiegała długimi nogami w „białych skarpetkach”, o tyle Filozofia zastanawiała się nad każdym krokiem. Anka podeszła do niej i poklepała ją po szyi.

– A ty nie chcesz iść dzisiaj do stajni? – zapytała, gładząc delikatną białą gwiazdkę na czole kasztanowej klaczy.

Filozofia potrząsnęła łbem i głośno parsknęła.

– W takim razie pójdziemy na krótki spacer – powiedziała Anka. Przypięła do kantara Filozofii linkę i ruszyła na obchód całego gospodarstwa. Filozofia początkowo się ociągała. W końcu zrobiła jeden, potem drugi i następny krok.

Potem przyszedł gruby, pan Maciej, kowal. Pan Maciej długo oglądał kopyta wszystkich czterech wierzchowców. Najwięcej kłopotu podczas oględzin podków narobił oczywiście Dzikus. Usiłował wierzgać, ale kowal złapał go za grzywę i szepnął mu coś do ucha. Dzikus natychmiast położył uszy po sobie i dopóki kowal nie skończył swojej pracy, nie drgnął nawet przez chwilę. Po oględzinach pan Maciej długo drapał się w łysą głowę i wreszcie powiedział, wskazując na Jańcia:

– Tego łaciatedego trzeba przekuć i temu czarnemu szaleńcowi należy dać dwie nowe podkowy na przód. Ale co pana podkusiło, żeby kupić takiego nerwusa? – zapytał kowal ojca Ani.

– To piękny koń, wystarczy go tylko dobrze ułożyć – stwierdziła mama Anki, która także przyszła obejrzeć zwierzęta.

– Owszem piękny – potwierdził kowal – i wielki, i silny, i mogą być z nim kłopoty. Wpadnę za kilka dni, to je podkujemy. Teraz niech się trochę oswoją i odpoczną po długiej drodze – stwierdził kowal, następnie się pożegnał i zniknął za bramą.

Tata Ani także dokładnie obejrzał konie. Jako lekarz dobrze znał się na swojej pracy, sprawdził, czy konie nie nabawiły się otarć na skórze w trakcie transportu i czy za bardzo się nie odwodniły. Następnie każdy z koni dostał miarkę owsa, wodę i witaminy.

– Na dzisiaj wystarczy. Konie stoją już w swoich boksach. A dla nas czas spać. Minęła dwudziesta druga – stwierdziła mama Anki.

– Zostanę jeszcze trochę, one są takie piękne – stwierdziła dziewczynka.

Matka pogłaskała jej rude włosy i uśmiechnęła się.

– Nie za wiele tych przeżyć jak na jeden dzień? No dobrze, zostań jeszcze pół godziny, nie dłużej – powiedziała mama i wróciła do domu.

Uradowana Anka od razu zniknęła w obszernej stajni. Pomieszczenie przygotowane było na przyjęcie piętnastu zwierząt. Pierwszy boks w stajni zajął oczywiście Dzikus. Tuż za nim stanęła zamyślona Filozofia, dalej Jańcio i Kora. Anka zapaliła światło w stajni i usiadła na belce słomy.

Dziewczynie towarzyszył Piotrek, na którego początkowo była obrażona za nazwanie Jańcia „łaciąką krową”, ale że chłopak bardzo się starał jej przypodobać, Anka przestała się bocyć i pierwsza się odezwała:

– Który ci się najbardziej podoba? – zapytała Anka.

– Wszystkie są ładne. Ale ten Dzikus najfajniejszy – stwierdził Piotrek.

– Teraz tak gadasz, ale pewnie bałbyś się go nawet pogłaskać – powiedziała zadowolona Anka.

– Ja bym się bał? Chyba żartujesz! – odparł chudy Piotrek i poprawił okulary na nosie.

– No to spróbuj, chyba że się boisz – zachęcała go Anka.

– A żebyś wiedziała, że spróbuję – powiedział Piotrek i niepewnie podszedł do boksu Dzikusa.

Chłopak oparł się o drewniane drzwiczki i ostrożnie wyciągnął rękę w stronę karego konia.

– No taś taś koniku, cip cip czy jak tam się do ciebie woła. – Piotrek zaczął nerwowo potrząsać dłońią na wysokości końskich chrap.

Dzikus, który właśnie przeżuwał resztkę owsa, spojrzał na chłopaka ze zdziwieniem. W jego głębokich, czarnych oczach błysnęły niebezpieczne ogniki. Anka, która od lat jeździła konno, bardziej wyczuła, niż dostrzegła, że koń szykuje przykrą niespodziankę młodemu opiekunowi. Nim zdążyła ostrzec Piotrka, Dzikus błyskawicznie przysunął łeb do wyciągniętej dłoni chłopaka i kłapnął zębami. W jednej chwili całą stajnię wypełnił piskliwy wrzask Piotrka.

– Oooon mnieeee uszczypnął! – wołał chłopak, hamując łzy.

Rzeczywiście, niesforny Dzikus bardziej dla żartu niż z chęci zrobienia chłopakowi krzywdy chwycił zębami wyciągniętą dłoń Piotrka. Chociaż na ręku nie było nawet śladu po końskich zębach, Piotrek tragizował jeszcze długo.

– Ooojjoj. Ta czarna bestia odgryzała mi palce. Ojjoj, mamusiu, ratuj!

Rozdział III

Tej nocy Anka wcale nie mogła zasnąć. Ciągłe myślała o koniach, które przyjechały do ich wymarzonej stajni. Nie spodziewała się, że marzenia o posiadaniu własnego konia spełnią się tak szybko. Ledwo się sprowadzili, a tu raz dwa pojawiły się cztery pierwsze konie. Leżąc w łóżku, zamykała oczy. W wyobraźni wchodziła do stajni. Otwierała boksy i w milczeniu oglądała stojące zwierzęta, głaskała je, klepała po szyi. W myślach wciąż sobie powtarzała, jaki piękny chód ma ta Kora, to znakomity koń. Jaki pocieszny jest ten poczciwy Jańcio i wcale mi nie przeszkadza, że wszyscy nazywają go łaciatą krówką! A Filozofia z tą fantastyką białą gwiazdą na czole jest tak leniwie dostojna. I jeszcze ten Dzikus, to dopiero koń na medal. Kiedy tak leżała, wyobrażając sobie, że pędzi na Korze po łąkach rozciągniętych nad malowniczym Liwcem, nawet nie zauważyła, jak nastał ranek. Trzeba było wstać i iść na lekcje. Zmęczona, z podkrążonymi oczami wlokła się noga za nogą, aż sama, nie wiedząc kiedy, stanęła przed budynkiem szkoły. Nagle nieprzyjemny, piskliwy głosik wyrwał ją z odrętwienia:

– O, panna Anna Popławska jakoś nie spieszy się na lekcję. Czy dzisiaj znowu będziesz próbowała utopić koleżanki w butelce wody?

Anka niczym wyrwana ze snu rozejrzała się wkoło. Głos brzmiał jakoś dziwnie znajomo, lecz dziewczynie zdawało się, że mówi do niej nieduże, pękate ciastko ze srebrną piłką na czubku. Czym prędzej przetarła oczy i uważnie przyjrzała się stojącej tuż przed nią postaci. Obszerna, kolorowa materia błyszczała jaskrawo w promieniach wstającego słońca. Na czubku ciastka poruszała się niewielka, idealnie okrągła piłka. Stamtąd dochodził głos.

– No ładnie, jak zwykle Anna Popławska chodzi swoimi drogami. Nie słyszałaś dzwonka? Ruszaj do klasy, za chwilę zaczynacie matematykę.

Dopiero teraz Anka rozpoznała panią Borową. Nauczycielka ubrana była w obszerną, kolorową suknię, a na głowie naciągnięty miała beret wyszywany cekinami.

– Już biegnę, proszę pani – wymamrotała dziewczyna i pędem wbiegła do szkoły.

Lekcje tego dnia mijały dość szybko, chociaż nie obyło się bez problemów. Pan Jan Karnowski, matematyk, zasuszony jak zwiędła śliwka, zawsze przychodził do szkoły ubrany elegancko w nieco wypłowiały garnitur. Jego nienagannie wypastowane buty błyszczały z daleka. Pan Jan zawsze zjawiał się punktualnie i wchodził do klasy równo z dzwonkiem. Nikt w szkole nie pamiętał, aby nauczyciel kiedykolwiek się spóźnił. Dokładnie tego samego pan Jan wymagał od swoich

uczniów. Tym razem jednak Anka wpadła do klasy dwie minuty po dzwonku, a to dla pana Karnowskiego było o wiele za dużo. Dodatkowa praca domowa specjalnie dla Anki miała podzielać na nią dyscyplinująco.

– Pamiętaj, moja panno – powiedział matematyk do Anki – spóźnianie się bez powodu to brak szacunku dla drugiej osoby. A ty chyba dzisiaj nie miałaś aż tak ważnego powodu, aby się spóźnić? – zapytał matematyk, patrząc uważnie na dziewczynę.

Anka w pierwszej chwili chciała zaprzeczyć, wymyślając jakąś niesamowitą historię o chorej babci, której musiała zanieść leki, albo starszej sąsiadce, która potrzebowała pomocy. Jednak w porę ugryzła się w język, kiedy tylko popatrzyła w szarozielone, bystre oczy profesora. Dziewczyna milczała, nie wiedząc, jak się zachować.

– No, masz szczęście, panno Popławska, że przynajmniej nie próbowałaś mnie oszukać, wymyślając historię o chorej babci, której musiałaś zanieść leki albo o sąsiadce, której nagle musiałaś pomóc – stwierdził profesor Karnowski i wyszedł z klasy na przerwę.

Po tych słowach Ance zjeżyły się włosy na głowie. Czuła, jak blisko była od nieuchronnej katastrofy. Nie dość, że się spóźniła, to do kolekcji przewinień dopisałyby jeszcze kłamstwo, a tego na pewno zasuszony matematyk by nie zniósł.

Okolo południa Anka spotkała na szkolnym korytarzu chudego Piotrka. Chłopak zabandażowaną miał całą rękę. Wszystkim stojącym wkoło niego opowiadał, jak to wczoraj pomagał wyprowadzać konie, które właśnie przyjechały do stadniny. Anka przystanęła za plecami zgromadzonych tak, żeby Piotrek jej nie widział, i z zaciekawieniem słuchała opowieści.

– ...i wtedy nagle jeden ogromny, narowisty ogier o imieniu Dzikus wyrwał się z transportu. Koń jak oszalały zaczął biec na oślep po ulicy – mówił podekscytowany Piotrek. – Przed pędzącym zwierzątkiem na chodniku znalazła się matka z dzieckiem na ręku. Nie czekałem na nic. Złapałem Dzikusa za szyję. Kobieta z dzieckiem uciekła, a mi udało się okiełznać tego potwora. A wtedy ten Dzikus ze złości wykręcił mi rękę.

– Niemożliwe! I ty sam dałeś sobie z nim radę? – zapytał ubrany w markowy dres pyzaty chłopak stojący obok Piotrka.

Piotrek zamiast odpowiedzi uniósł nieporadnie zabandażowaną rękę i pokazał ją jako koronny dowód w sprawie.

- A skąd był ten koń? – pytali zgromadzeni koledzy chudego Piotrka.
- Dzikus to najstraszniejszy ogier tej nowej dziewczyny, Anki z klasy „c” – dodał Piotrek.

Nagle chłopak zauważył Ankę stojącą za jego plecami. Zrobił się czerwony na twarzy jak burak. Obfite krople potu wystąpiły mu na czoło, a okulary zsunęły się na koniec długiego piotrowego nosa. Pyzaty chłopak, który przed chwilą pytał Piotra o konia, zauważył stojącą w pobliżu dziewczynę.

- To zdaje się ty jesteś ta Anka, do której przyjechały konie? – powiedział, szczerząc żółte, nieumyte zęby.

– A ty jak masz na imię? – zapytała dziewczyna.

- Krystian, jeszcze o mnie nie słyszałaś? To dziwne. Chciałem wiedzieć, czy chudzielec mówi prawdę o tym twoim Dzikusie? – zapytał Krystian i wydał pokaźny brzuch.

Wśród stojących zaległa głucha cisza. Wszyscy czekali na to, co powie Anka, a najbardziej czekał Piotrek. Anka zmierzyła wzrokiem pyzatego Krystiana, zaraz potem spojrzała na zielonego z wrażenia Piotrka. Zrobiło jej się żal kolegi, więc spokojnie wycodziła przez zęby:

- To prawda, że Dzikus to duży, silny i szybki koń. A Piotrek był wczoraj bardzo odważny.

Odchodząc od gromady stojących chłopców, Anka usłyszała głośnie westchnienie ulgi, które wydał chudy Piotrek.

Rozdział IV

Po zejściu z Sylwią, Gabryską i Karoliną, przez kilka dni Ola nie przychodziła do szkoły. Wreszcie pod koniec tygodnia pojawiła się w klasie kilka minut przed rozpoczęciem zajęć. Jak zwykle usiadła w ostatniej ławce pod oknem i jak zwykle nikt się do niej nie odzywał. Właściwie nikt nie zwracał na nią uwagi, tak jakby Oli w ogóle nie było. Anka, która też siedziała sama, tyle że w rzędzie pod ścianą, popatrzyła na koleżankę i zrobiło się jej żal. Chyba nikt nie chciałby być tak nieuprzejmie traktowany, pomyślała. Zebrała swoje książki z ławki i podeszła do Oli:

– Mogę z tobą siedzieć? – zapytała.

Ola ze zdziwieniem popatrzyła na Ankę. Jej oczy zrobiły się duże i szkliste ze wzruszenia.

– Jeśli „chcesz” – powiedziała Ola z nadzieją w głosie i zaraz się poprawiła – to znaczy jeśli chcesz.

– Pewnie, że chcę. Tu jest lepsze światło i fajne widoki za oknem, a w rzędzie pod ścianą jakoś tak ponuro – stwierdziła Anka.

Ola szybko przesunęła książki na swoją połowę ławki, robiąc miejsce nowej koleżance. Anka wyjęła podręczniki i rozejrzała się po klasie. Nauczyciela jeszcze nie było, a nikt z kolegów i koleżanek nie zwrócił uwagi na zmianę miejsca przez nową. Anka szybko wyciągnęła z plecaka telefon komórkowy.

– No co ty, nie „wozmożno” – powiedziała Ola z naganą w głosie.

– Mówi się nie „wozmożno” tylko nie można – poprawiła ją Anka. – Zaraz schowam telefon, tylko coś ci pokażę – powiedziała i wyświetliła na szklanym ekranie zdjęcia swoich czterech koni. – Zobacz, ten czarny ma na imię Dzikus, ten łaciaty jak krówka to Jańcio, a te dwie klaczki to Filozofia i Kora. Prawda, że ładne?

Twarz Oli w jednej chwili wypełniło uczucie szczęścia i zachwytu. Wzięła telefon z rąk koleżanki i jak urzeczona wpatrywała się w sylwetki zwierząt.

– Jakie one „krasiwyje”, to znaczy piękne – szepnęła Ola.

– Masz rację, wszystkie są cudowne. Jeśli chcesz, to przyjdź do mnie jutro. Będzie sobota, to będziemy miały więcej czasu. W sobotę mama zawsze piecze ciasto z jabłkami, a przy okazji zobaczysz, jak wyglądają moje konie na żywo. Tylko musisz uważać, bo Dzikus lubi gryźć w palce – powiedziała Anka i obydwie zaczęły się śmiać.

Oglądając zdjęcia, dziewczyny nawet nie zauważyły, jak przy ich ławce stanęła pani Borowa, która właśnie weszła do klasy.

– Panna Anna Popławska, panna Ola Kałuszańska, proszę wstać! – zakomenderowała nauczycielka.

Na dźwięk piskliwego głosu pani Borowej obie dziewczyny skuliły się jak rażone gromem. Posłusznie wstały z opuszczonymi głowami. Cała klasa także zamilkła, czekając na rozwój wypadków. W końcu nie często się zdarza, aby dwie nowe dziewczyny, które dopiero co przyszły do szkoły, już zdążyły podpaść jednej z najstraszniejszych nauczycielek z podstawówki – pani Borowej!

– Co to za porządki? Po pierwsze, dlaczego przesiadłyście się bez pozwolenia? Po drugie, telefon na lekcji jest zabroniony. Mówiłam o tym rodzicom na wywiadówce – żadnych telefonów nie wolno przynosić do szkoły. Oddaj mi go, panno Popławska, twoją komórkę zwrócę po zajęciach. A teraz siadajcie i zachowujcie się jak na uczniów przystało – powiedziała Borowa i wróciła do prowadzenia lekcji.

Dziewczyny siadły w ławce. Anka rozejrzała się po klasie. Pierwsze, co spostrzegła, to złośliwe uśmiechy na twarzach Sylwii, Gabryśki i Karoliny. Niewiele myśląc, Anka stuknęła Olę łokciem w rękę.

– Rób to, co ja – powiedziała, po czym spoglądając w stronę trzech dziewczyn, zrobiła koszmarnego zęza i wystawiła język na brodę. Uśmiechy z twarzy Sylwii, Gabrieli i Karoliny zniknęły w jednej chwili.

– Dobrze im tak – szepnęła Anka i jak gdyby nigdy nic otworzyła książkę do języka polskiego.

Rozdział V

Sobota zapowiadała się sympatycznie. Od rana świeciło słońce i było bardzo ciepło. Anka wstała kilka minut po godzinie szóstej rano, szybko się umyła i zbiegła po schodach na dół. W kuchni spotkała rodziców, którzy właśnie szykowali śniadanie.

– Tak wcześnie, a ty już jesteś na nogach? – zapytał zdziwiony tata, gładząc krótko przystryżoną brodę.

Faktycznie, w zachowaniu Anki było coś nieprawdopodobnego. Póki nie było koni w wolne dni spała prawie do południa. Dopiero po wielokrotnych interwencjach mamy i taty zwlekała się z łóżka z grymasem niezadowolenia na twarzy. Nakładała wtedy szlafrok i z miną obrażoną na cały świat siadała do śniadania. Tym razem było inaczej.

– Jestem głodna – stwierdziła, siadając do stołu.

– Jedną chwilkę, moja panno. Wszyscy szykujemy śniadanie. Tata pokroił wędliny i chleb. Ja zrobiłam herbatę i kakao, ty rozstawisz talerze i sztućce – w tym domu nie ma służących, córeczko. Każdy ma swoje obowiązki – stwierdziła mama.

– Mamo, ale ja się spieszę – powiedziała, spoglądając przez okno w stronę stajni.

– Jak każdy z nas. Dlatego zrób to, co mówiłam. Dzisiaj będzie pracowity dzień. Za dwadzieścia minut przyjdzie pan Kazimierz, żeby oporządzić konie. Pewnie Piotrek przyjdzie razem z nim. Trzeba będzie położyć też bryłki soli przy poidłach, żeby każdy z koni mógł je lizać. Około godziny dziesiątej ma przyjechać kowal. Jańcio i Dzikus idą do podkucia. Konie trzeba też wycesać i trochę „połążować”, tym bardziej że na 14.00 zapowiedzieli się pierwsi chętni do jazdy – stwierdziła mama, nalewając kakao do kubków.

– Mam nadzieję, że pomożesz mi w siodlarni – dodał tata. – Trzeba rozłożyć siodła i ogłowia na swoich miejscach. Wczoraj kurier przywiózł paczki z oporządzeniem dla koni, więc sama widzisz – pracy mamy dużo.

– A ja na dzisiaj zaprosiłam tę Olę z naszej klasy, żeby obejrzała konie – powiedziała Anka.

– No to musisz się pospieszyć, żebyś mogła zająć się koleżanką – odparła mama.

Zaraz po śniadaniu Anka błyskawicznie naciągnęła bluzę, bryczesy i od razu pobieгла do stajni. Kiedy przekroczyła próg, owiał ją przyjemny zapach koni. Dzi-
kus od progu przywitał ją głośnym westchnięciem, jak gdyby mówił „no, wreszcie
wstałaś, dziewczyno, ile można spać”. Anka spojrzała na karego konia i poklepała
go po pysku. Stojący nieco dalej Jańcio wychylał łaciaty łeb przez ogrodzenie
boksu i pocieszenie machał grzywą.

– Ty pieśczocho – powiedziała Anka. – Chcesz, żeby cię drapać. Objęła rękami
koński łeb i przytuliła się do niego. Jańcio był cały szczęśliwy. Zabawnie pocierał
uchem o kurtkę swojej nowej właścicielki i w poszukiwaniu przysmaków usiłował
sięgnąć pyskiem do kieszeni bluzy, którą Anka miała na sobie.

Dostojna Kora i nieustannie zamyślona Filozofia stały w swoich boksach,
spokojnie żując siano. Nagle Anka usłyszała za sobą czyjeś kroki. Odwróciła się.
Przed nią stał chudy Piotrek i niezdarnie poprawiał okulary na nosie.

– Cześć – powiedział chłopak i z zakłopotaniem podrapał się po krótko przystrzy-
żonych włosach.

– Cześć – odpowiedziała Anka, spoglądając na niego uważnie.

– Chciałem ci podziękować... – wymamrotał Piotrek i zaczerwienił się na policz-
kach.

– Niby za co? – zapytała Anka.

– No, że mnie nie wydałaś przed chłopakami. A zwłaszcza przed tym Kistjanem.

– Przed kim?

– Przed Krystianem – poprawił się Piotrek – tak go przezywamy, kiedy nie słyszy.
Strasznie go to denerwuje i zaraz rwie się do bicia, a jest najsilniejszy w szkole.
Jego ojciec kupił mu do domu małą siłownię. Codziennie trenuje hantlami, a po-
tem chwali się, jakie ma mocne bicepsy.

– Nie ma sprawy. A jak z twoją ręką? – zapytała dziewczyna, szukając bandaża,
który od wczoraj gdzieś zniknął.

– Właściwie... – powiedział Piotrek i znowu się zarumienił – ...właściwie to mi się
nic nie stało. Dziкус złapał mnie za rękę tylko wargami, tak naprawdę to mnie
tylko polizał. On nie jest chyba taki groźny, jak się wydaje.

Od strony magazynku na owies dobiegło głośne skrzypienie. Po chwili zza
filarów podtrzymujących wysoki strop stajni wyłonił się pan Kazimierz – ojciec
Piotrka, który pchał przed sobą taczkę z sianem.

– Dzień dobry – powiedziała Anka.

– Witaj Aniu – powiedział ciepłym głosem pan Kazimierz. – Widzę, że ty też jesteś w stajni od rana.

– Tak, one są takie cudowne – rzekła Anka, spoglądając na konie.

– Masz rację, ale przy tym ile pracy jest przy nich. Jeśli twój tata kupi jeszcze kilka, to będzie potrzebna dodatkowa osoba do pomocy – stwierdził rzeczowo ojciec Piotrka, po czym dodał: – A teraz posłuchajcie. Po południu przychodzą pierwsi klienci na jazdę. Konie muszą się trochę poruszać. Dochodzi godzina ósma, zaprowadźcie Korę i Filozofię na pastwisko nad Liwcem. Tylko uważajcie po drodze. U waszego sąsiada pana Jasińskiego jest ten wielki złośliwy kogut. On potrafi narobić bigosu. A zwłaszcza, kiedy zobaczy konia, może być nieobliczalny.

– O tak, tak – tata zawsze mi powtarzał, że najgroźniejsze zwierzęta na świecie to kury – powiedziała Anka i roześmiała się głośno.

Rozdział VI

Chociaż Piotrek nadal bał się koni, to jednak obiecał pomóc Ance zaprowadzić Korę i Filozofię na pastwisko. Dziewczyna przypięła uwiąz do kantarów i wyprowadziła kolejno obie klacze ze stajni.

Przed domem już stali tata i mama i z uwagą przyglądali się zwierzętom.

– Wyglądają okazale – stwierdziła fachowo Małgorzata, mama Anki – myślę, że Kora ma znakomite warunki do biegania na wyścigach. Mocne mięśnie, dobra budowa.

– To dobre konie. Zobaczymy, jak będą się u nas aklimatyzowały. Kuracja witaminowa i dobry owies powinien zwiększyć masę mięśni – stwierdził ojciec Anki – Paweł, który jako weterynarz dobrze znał się na rzeczy.

– Później będziecie się nimi zachwycali, teraz idziemy na pastwisko. Piotrek, ty weźmiesz Filozofię, jest spokojniejsza, ja pójdę z Korą – zakomenderowała Anka i ruszyła przodem.

Droga na pastwisko prowadziła od stadniny prosto nad rzekę Liwiec, leniwie wijącą się pośród malowniczych pól, łąk i lasów. Nazwa rzeki wzięła się od starodawnego słowa, którym nasi przodkowie określali wierzbę. Podobno przed wiekami na wierzby – drzewa zwieszające smutno gałęzie nad wodą – mówiono „iwy” lub „lwie”. Anka, chociaż nigdy wcześniej, zanim tu zamieszkali, nie była nad Liwcem, od razu pokochała to miejsce. Czysta woda, płytkie dno oraz malownicze, piaszczyste plaże sprzyjały letnim kąpielom i pływaniu kajakami. Prowadząc konie, Anka rozglądała się z przyjemnością dokoła. Gdzieś w oddali na niebie zauważyła szybującego jastrzębia, który cierpliwie wypatrywał zdobyczy. Malownicze domki przyjemnie wpisywały się w krajobraz Węgrowa. Słońce zaczynało grzać, jak to zwykle bywa wiosną, kiedy cała przyroda budzi się do życia. Z zamyślenia wyrwał Ankę lodowaty głos Piotrka:

– Stój! – krzyknął chrypiąc.

Dziewczyna ze zdziwieniem obejrzała się na kolegę. Nagle Kora poruszyła się niespokojnie, a Filozofia zrobiła krok w tył.

– Nie ruszaj się – powiedział Piotrek ostrzegawczo.

Anka z przerażeniem odwróciła głowę. Pośrodku drogi, kilkanaście metrów od niej, stał wielki, żółto-czerwony kogut i donośnie gdakał. Anka jeszcze nigdy nie widziała takiego potwora, miał prawie ponad pół metra wysokości, wielki, czerwony grzebień oraz potężny, zakrzywiony dziób i – co najgorsze – wcale nie

miał zamiaru uciekać. Anka pogłaskała po szyi zdenerwowaną Korę, która zaczynała niebezpiecznie przestępować z nogi na nogę. Podobnie Filozofia, spłoszona zachowaniem Kory, strzygła uszami i nerwowo potrząsała łbem.

– Ciiicho, spokojnie – szeptała Anka koniowi do ucha – on zaraz sobie pójdzie.

Jednak kogut najwyraźniej nie miał zamiaru nigdzie iść i rzeczywiście wyglądał naprawdę groźnie. Na dodatek podły zwierz krok za krokiem zaczął zbliżać się w stronę dzieci i koni. Żółto-czerwony kogut skradał się w stronę intruzów, którzy zakłócili jego spokój. Anka z przerażeniem spojrzała na Piotrka.

– Co robić, za chwilę konie się spłoszą i nie damy rady ich utrzymać – rzekła z rozpaczą.

Chudy Piotrek spojrzał na dziewczynę, a zaraz potem na nerwowo strzygące uszami konie. Chwilę zbierał się w sobie, po czym wyprostował się i dziarskim krokiem podszedł do Anki.

– Trzymaj Filozofię i Korę – rzekł twardym, męskim głosem. – Ja zajmę się tym pierzastym bandytą, ten atak wezmę na siebie. Będę z nim walczył na śmierć i życie, ale ciebie obronię. Jeśli zginę... – zaczął Piotr, lecz nie zdążył dokończyć, bo właśnie Anka wpadła mu w słowo:

– Dobra, już dobra, jeśli zginiesz, będę wiedziała, co robić – powiedziała, a następnie chwyciła uwiąz Filozofii i razem z końmi cofnęła się kilka kroków.

Piotrek wolno ruszył w stronę koguta. Czerwono-żółta bestia przez chwilę wydawała się zaskoczona. Jeszcze nikt nigdy jej się nie przeciwstawił. Kogut samym swoim wyglądem przepędzał wszystkich ze ścieżki prowadzącej nad rzekę. Nikt nie miał z nim szans – ani ludzie, ani psy, ani żadne inne zwierzęta. Patrząc na przeciwnika, kogut nastroszył grzebień, wyciągnął do góry szyję i ostrzegawczo zatrzepotał skrzydłami.

– Albo ty, albo ja... – syknął Piotrek i zdjął z bioder bluzę, którą wcześniej z powodu gorąca przewiązał sobie w pasie.

Chłopak rozstawił szeroko ręce i kręcąc nad głową młyńca bluzą ruszył do ataku. Co się wtedy działo – trudno opisać. Kogut zapiął i skoczył w górę. Piotrek również zapiął albo raczej zapiszczał i także skoczył w górę. Ilekroć kogut chciał dziobnąć chłopaka albo zadrapać go kolczystymi ostrogami u nóg, tyle razy Piotrek trafiał go bluzą. Kogut i Piotrek zmagali się na całego. Prawdziwa wojna rozgrywała się o poranku na zielonej łące upstrzonej kolorowymi kwiatami. Kilka

razy kogut usiłował przeskoczyć nad chłopcem, aby zająć go od tyłu, jednak Piotrek zawsze był szybszy i celnym uderzeniem strącał ptaszysko na ziemię. W miarę upływu czasu walka była coraz bardziej zjadła, a przeciwnicy coraz bardziej zmęczeni. Wreszcie czerwono-żółty potwór uskoczył w tył i przez chwilę zdawało się, jakby miał zamiar dać za wygraną. Jednak był to tylko podstęp. Kogut odbiegł kilka kroków, nabrał rozpędu, po czym gwałtownie zawrócił i wzbił się w powietrze. Kiedy leciał, wydawało się, że jego potężne skrzydła na kilka chwil załuszczyły całe niebo. Straszliwy ptak celował dziobem prosto w głowę Piotrka. Chłopak wyczuł jednak zamiary napastnika. Padł na ziemię, zrobił unik i przeturlał się w tył. Kogut jak pocisk przeleciał tuż nad czupryną Piotrka, a ostre pazury ze świstem przecięły powietrze. Teraz Piotrek zerwał się błyskawicznie z ziemi i z całej siły strzelił wredne ptaszysko bluzą w ogon. Wkoło posypały się barwne pióra z koguciego ogona. Kogut opadł na ziemię zdziwiony. Następnie obejrzał się, podskoczył, zapiał rozpaczliwie i uciekł w stronę pobliskiej zagrody. Tymczasem Piotrek, jak gdyby nigdy nic, otrzepał spodnie z resztek ziemi i poprawił okulary, które w trakcie walki zsunęły mu się z nosa. Następnie podszedł do Anki, wziął uwiąz Filozofii i szarmancko oznajmił:

– Bestia pokonana, droga wolna!

Rozdział VII

Okolo godziny dziesiątej, dokładnie tak jak zapowiadał tata, w stajni pojawił się łysy kowal, pan Maciej. Rozłożył swoje narzędzia w wejściu do stajni, a następnie podszedł do końskich boksów. Z podkuciem dobrotliwego Jańcia nie było problemów. Łaciaty konik posłusznie podnosił nogi i spokojnie czekał, aż kowal dopasuje nowe podkowy. Nawet przy skrobaniu kopyt Jańcio wcale się nie wiercił tylko spokojnie żuł marchewki, które od czasu do czasu Anka i Piotrek podtykali mu pod nos.

– Ten nasz Jańcio – ta nasza „krówka” to cudowne zwierzę – powiedziała mama, spoglądając na konia – będzie się znakomicie nadawał do nauki jazdy dla dzieci. Jest posłuszny i bardzo przymilny, na pewno każdy od razu go polubi.

Chociaż Anka z początku nie znosiła, kiedy łaciatego Jańcia ktoś nazywał krówką, to teraz przestała zupełnie zwracać na to uwagę. Jańcio był po prostu Jańciem i wiedziała, że wszyscy i tak będą go uwielbiali. Zupełnie inaczej sprawa wyglądała z Dzikusem. Kary wałach najpierw wcale nie chciał wyjść z boksu. Zapierał się nogami, szarpał się na wszystkie strony i pan Kazimierz – ojciec Piotrka, który zajmował się obsługą koni – strasznie się z nim namęczył. Kiedy Dzikus wyszedł wreszcie z boksu, wystraszył się kota Marcela, który siedząc na belce słomy, z zainteresowaniem przyglądał się wyczynom karego konia. W końcu kowal Maciej po raz drugi musiał użyć swoich „czarów” i zahipnotyzować Dzikusa, żeby ten dał się podkuć. Kiedy kowal skończył, poklepał Dzikusa po grzbiecie i rzekł:

– No, a teraz możesz już brykać.

I faktycznie stało się, jak powiedział pan Maciej.

Dzikus od razu zaczął się wiercić tak, że trzeba go było wyprowadzić ze stajni, żeby chwilę się uspokoił. Tego dopilnował pan Kazimierz, do którego Dzikus zaczynał się odnosić z coraz większym respektem.

– A teraz trzeba tego karego szaleńca zabrać na padok, żeby mógł się oswoić z nowymi podeszwami. Rachunek prześlę mailem – powiedział kowal do mamy Anki, która stała w pobliżu.

– Dziękuję za pomoc, panie Macieju. Nikt tak dobrze jak pan nie daje sobie rady z Dzikusem – powiedziała mama, spoglądając na karego konia, który właśnie próbował ugryźć kota Marcela. – Rozliczenie prześlę na konto.

– Kowal odjechał, a mama Anki zawołała córkę i Piotrka na sok i kanapki. Kiedy siedzieli na werandzie, wcinając tosty z szynką i serem, zabrzmiał dzwonek domofonu. Mama wychyliła się przez okno i powiedziała:

– Aniu, to do ciebie. Przyszła twoja koleżanka Ola.

Anka zerwała się z krzesła, a zaraz za nią pobiegł Piotrek, trzymając w jednym ręku obgryziony tost, a w drugim kubek z sokiem jabłkowym.

Przed bramą faktycznie stała Ola. Dziewczynka ubrana była w brązowe bryczesy, wysokie jeździeckie buty, białą koszulkę z krótkim rękawem oraz granatową kamizelkę do jazdy konnej. W ręku trzymała kask i krótki jeździecki bat. Anka otworzyła furtkę i ze zdziwieniem popatrzyła na koleżankę. Chudy Piotrek też przerwał jedzenie i uważnie przyglądał się Oli. Dziewczyna wyglądała jak prawdziwa zawodniczka, która brała udział w niejednym wyścigu.

– Cześć, czemu tak „dywyty se na mene” – zapytała Ola i zaraz się poprawiła – czemu tak mi się przyglądacie?

– „Dywyty se” – to znaczy po ukraińsku przyglądać się? Tak? – zapytał Piotrek, przełykając spory kęs kanapki.

– Dokładnie – potwierdziła Ola i zarumieniła się na twarzy. – Ja czasami jeszcze mylę słowa. Przepraszam.

– Nie masz za co przepraszać – przerwała jej Anka. – A skąd ty masz taki profesjonalny strój do jazdy na koniu?

– A ja tobie „ranisze ja ne казаła”, znaczy nie mówiłam ci wcześniej. Na Ukrainie byłam w „komandzie” – znaczy drużynie jeździeckiej.

– Poważnie? Nie bujasz? – zapytała z niedowierzaniem Anka.

– Poważnie. Ja trzy razy „wyhrywała”, znaczy wygrywałam międzynarodowe zawody młodzieży. Moja mama też była zawodniczką. I na zawodach Pucharu Świata zdobyła „trete mijsce” – to znaczy trzecie miejsce. Myślałam, że po wyjeździe z Ukrainy już nigdy nie będę jeździła – rzekła Ola i szczerze uśmiechnęła się do koleżanki.

Anka przez dłuższy czas patrzyła na Olę szeroko otwartymi oczami. Jakoś nie mogła uwierzyć, że wysoka i zawsze cicha dziewczyna z jej klasy zdobywała w swoim kraju tytuły w międzynarodowych zawodach. Sama Anka, która uważała się za doświadczoną dżokejkę i na koniach jeździła ponad pięć lat, dopiero niedawno zdała egzamin na srebrną odznakę jeździecką.

Anka ze zgrozą pomyślała o swoich pucharach i medalach zdobywanych na różnych zawodach. Wszystkie jej trofea stały się nagle małe i nic nieznaczące. Do tej pory jej największym sukcesem było zajęcie czwartego miejsca w zeszłorocznym Pucharze Polski w Jakubowicach. A tu przed nią stała trzykrotna mistrzyni zawodów międzynarodowych. Anka przełknęła ślinę, ponieważ z wrażenia zaschło jej w gardle, i z zazdrością popatrzyła na koleżankę. Piotrek natomiast przełknął sok i teraz także stał, przysłuchując się Oli z zaciekawieniem.

– Chodź. Pokażę ci moje koniki. Ciekawa jestem, co powiesz o Dzikusie – zachrypiała Anka i ruszyła przodem.

Rozdział VIII

Dopiero późnym popołudniem w stadninie przestało wrzeć jak w ulu. Na pierwsze lekcje jazdy, o których rano wspominał tata, przyszły dwie panie w towarzystwie dwóch panów. Jedna z kobiet, korpulentna pani o imieniu Aldona, siedząc na grzbiecie Jańcia, cały czas wołała do Stefcia – swojego męża:

– Stefciu, no powiedz, jak mi idzie. Prawda, że dobrze mi idzie?

Stefcio, zażywny pan w spodniach zaprasowanych w kant i białej koszuli z krótkim rękawem, stał oparty o ogrodzenie padoku i cały czas odkrzykiwał małżonce:

– Tak, tak, kochanie, dobrze ci idzie. Jeździsz znakomicie – powtarzał Stefan, przy czym prawda była zupełnie inna...

Mama Anki, prowadząca lekcję jazdy, długo musiała się męczyć nim pani Aldona zrozumiała, na czym polega anglezowanie – czyli rytmiczne unoszenie się w siodle. Druga z pań, która brała lekcję, przyjechała ze swoim narzeczonym nowym BMW i kazała do siebie mówić Róża. Szczupła, wysoka kobieta, ubrana w nienagannie przylegający strój jeździecki w kolorze brązu i bieli, bez większych problemów radziła sobie z Korą. Kręciła regularne kółka i wolty. Na koniec lekcji poprosiła tatę Anki, żeby z tak wspaniałym koniem zrobił jej pamiątkowe zdjęcie. Narzeczonej panny Róży też chciał być na zdjęciu, ale Róża powiedziała, że na fotografii ma być tylko koń i ona. Obydwie panie oczywiście zapisały się na kolejne zajęcia. Zwłaszcza pani Aldona chciała wykupić karnet na cały rok, ponieważ twierdziła, że znajomy dietetyk polecał jej jazdę konną jako znakomity sposób na odchudzanie.

– No, a teraz dzieciaki wreszcie jest czas dla was – powiedział tata Anki, który skończył pracę w swojej lecznicy weterynaryjnej. – Możecie pojechać w teren. Ty, Aniu, osiedłaj sobie Korę, a ty, Olu, słyszałem, że znakomicie jeździsz. Którego konia byś chciała?

– Jeśli można, pojechałbym na Dzikusie.

Rodzice Anki spojrzeli na dziewczynę uważnie. Również Anka i Piotrek popatrzyli na nią z niedowierzaniem.

– To bardzo wymagający koń, może zaczęłabyś od innego. Na przykład Filozofia wydaje się spokojna, ale potrafi bardzo dobrze biegać. Kiedy ją kupowałem, przejechałem cały parkur. Ten koń potrafi skakać i mimo swojej melancholii jest szybki – stwierdził lekko zaniepokojony wyborem dziewczynki tata Anki.

– Nie, jeśli można „poprobowaty” – znaczy spróbować, to ja bym na Dzikusa chciała – upierała się Ola.

– Dobrze – powiedział z namysłem pan Paweł. – Ale najpierw go osiodłaj i zrób krótki trening na padoku, żebym mógł się przekonać, czy dasz sobie z nim radę.

Kiedy Ola zniknęła w stajni, ojciec Ani zwrócił się do Piotrka:

– A ty, młody człowieku, jeździłeś już kiedyś na koniu?

Piotrek przecząco pokręcił głową.

– W takim razie pierwszy raz pojeździsz na krówce pani Strykowskiej. Dla ciebie osiodłamy Jańcia.

Próbna jazda na Dzikusie wyszła Oli bardzo dobrze. Koń słuchał poleceń, zawracał na lekkie dotknięcie łydki. Ruszał w kłus, a nawet w galop, gdy tylko Ola dała mu znak, lekko wypychając biodra. Dzikus także wydawał się zadowolony. Słuchał poleceń dziewczyny i kiedy tylko ona przechylała się do środka, koń natychmiast skręcał. Kilka razy Ola, mimo że siedziała w siodle, a nie w kulbace, ruszyła z kopyta po kowbojsku. W pewnej chwili koń prowadzony pewną ręką dziewczyny już po trzecim kroku przeszedł w galop. Następnie Ola w pełnym pędzie ruszyła na dwie ustawione na padoku przeszkody. Przeszkody o wdzięcznych nazwach okser i stacionata nie sprawiły Oli i Dzikusowi najmniejszych problemów. Wydawało się, jak gdyby jeździec i koń dogadywali się od zawsze. Anka była trochę zazdrosna, jednak sama musiała przyznać, że koleżanka jeździ znakomicie. Ambicje należało schować do kieszeni i lepiej się było z Olą przyjaźnić jak do tej pory, niż się na nią bez powodu obrażać. Po skończonym pokazie Ola podjechała do stojących przy padoku rodziców Anki.

– Wiesz Olu, będę chciała zaprosić do nas twoich rodziców. Ale o tym porozmawiamy później. A teraz, dziewczynki, ruszajcie. Macie dobrą godzinę na przejażdżkę. Tylko uważajcie na siebie – poprosiła mama Anki.

Ola i Ania ruszyły przed siebie stępem. Gdy tylko znalazły się na otwartej przestrzeni, Dzikus od razu wysforował się do przodu. „Kiedy koń poczuje przestrzeń, to wiatru się trzymaj” – Ania powtórzyła w myślach dawne porzekadło pradziadka Józefa. Pradziadek podczas II wojny światowej służył w konnym związku Korpusu Ochrony Pogranicza. Wielokrotnie oglądała wywiady, które jej tata nagrywał z pradziadkiem na domowej kamerze VHS. Na filmie pradziadek Józef siedział w głębokim fotelu i opowiadał niesamowite historie o koniach, o wojnie i smutnych czasach okupacji niemieckiej.

Na nagraniu na ścianie za pradziadkiem wisiła piękna ułańska szabla i portret groźnego pana z krzaczastymi brwiami i sumiastym wąsem. Przez długi czas Anka nie wiedziała, czyj to był portret. Dopiero kiedy trochę podrosła, dowiedziała się, że był to wizerunek marszałka Józefa Piłsudskiego. To chyba przez te wywiady z pradziadkiem, którego przecież nie znała, bo zmarł nim się urodziła, nauczyła się miłości do tych wielkich i silnych zwierząt...

Anka pochyliła się mocniej w siodle. Kora, na której jechała, cały czas pozostawała nieco z tyłu, lecz ciągle kontrolowała bieg. Jej długie, zgrabne nogi zdawały się poruszać dostojnie, z gracją, niczym w zwolnionym tempie. Podczas gdy Dzikus rwał przed siebie na oślep prowadzony wprawną ręką Oli, Kora bez zbyteń pośpiechu nadrabiała dzielący ich dystans. Wreszcie obydwa konie zrównały się ze sobą.

– Zajedziemy od strony rzeki. Tu niedaleko jest Sowia Góra. Stamtąd jest piękny widok na dolinę Liwca! – krzyknęła Anka.

Ola skinęła głową i popędziła Dzikusa, który rozochocony przestrzenią i swobodą zdawał się w biegu unosić nad łąką. Anka z Korą popędziły za nimi. Po kilku minutach dziewczyny dotarły na szczyt Sowiej Góry. Ostatnie promienie słoneczne odbijały się w srebrzystej wstędze rzeki Liwiec, wijącej się u stóp wzgórza. Na łąkach widać było dziesiątki bocianów spacerujących w poszukiwaniu pokarmu. Gdzieś z oddali słychać było donośne ryczenie krów czekających na wieczorny udój.

– Jak tu „harno” – wyszeptała Ola, rozglądając się wkoło.

– Co? – zapytała zdziwiona Anka.

– „Harno” to jest pięknie – poprawiła się szybko.

– Od jutra pracujemy nad twoim językiem polskim, żeby Borowa i te trzy wredne dziewczuchy więcej się ciebie nie czepiały. Ja ci pomogę w polskim, ty mnie podszkolisz z jazdy. Umowa stoi? – zapytała Anka.

– Stoi – odparła Ola.

– Ale teraz zejźmy na chwilę z koni, niech odpoczną. Niedługo zrobi się zupełnie ciemno, więc zaraz musimy wracać – powiedziała Anka.

Dziewczynki zeskoczyły z koni. Trzymając zwierzęta za wodze, ruszyły na krótki spacer po wzniesieniu.

– Wiesz, czytałam, że dawno temu był tu „hram” – świątynia znaczy – powiedziała Ola.

– Też o tym czytałam, podobno tutaj zlatywały się czarownice na sabaty. Ktoś miał tu zakopać garniec złota. Ale to chyba tylko legendy – powiedziała Anka.

Nagle Ola złapała Ankę za rękę.

– Ostrożnie, nie wpadnij do środka – powiedziała, wskazując niewielką jamę w ziemi.

Anka spojrzała pod nogi. Faktycznie, tuż przy lewej stopie ziała spora dziura.

– Pewnie po ostatnim deszczu grunt się zapadł, a może mieszkają tam zające albo lisy – wyliczała głośno Anka.

– Raczej nie. Tam w dole widać cegły. Zające nie murują chałup – powiedziała Ola i obie się zaśmiały.

Anka przyjrzała się uważniej ziemnej wyrwie. Wreszcie wyjęła z niewielkiej torby przypiętej do siodła latarkę i poświeciła do środka. Snop światła pomknął do wnętrza, ukazując podziemny korytarz schodzący ostro w dół.

– Co to może być? – zapytała Ola z niepokojem w głosie.

– Nie wiem, ale koniecznie musimy to sprawdzić – odparła Anka. – Tylko nie teraz. Jutro wrócimy tu razem z Piotrkiem. Zaraz będzie ciemno, jazda nocą nie należy do przyjemnych. Z krzaków może wyskoczyć zając albo lis, koń się spłoszy i nieszczęście gotowe – zakomenderowała Anka.

– Ale miejsce musimy „showaty”, znaczy ukryć – żeby nikt inny go nie znalazł – powiedziała Ola.

Dziewczyny zasypały rozpadlinę ziemią. Kiedy otwór zniknął zupełnie, Anka wyrwała niewielki krzak rosnący w pobliżu i posadziła go na wierzchu.

– Musimy wiedzieć, gdzie mamy szukać – powiedziała.

Następnie obie dziewczyny wskoczyły na swoje konie i ruszyły w powrotną drogę do stajni.